

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 54

Nr. 12. | Warszawa, 2 (15) czerwca 1901 r. | Rok III.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



MOMENT KRYTYCZNY.

O ZWIĄZKU MYŚLISTWA Z PRZYRODOZNAWSTWEM.

W naszem nawet społeczeństwie, chociaż tak ogólnie znanem ze swej obojętności dla wiedzy przyrodniczej, są liczne jednostki, dla których, jeżeli nie owa wiedza, to przynajmniej sama przyroda nie powinna być obcą.

Jednostki, o których mówię, tworzą wielką drużynę myśliwską. Pomimo rozmaitych form, jakie polowanie przybierało w ciągu wieków, myśliwi zawsze spędzają godziny i nawet dnie całe w bezpośredniem zetknięciu z naturą, przez co mają możność obserwowania życia zwierząt, a poczęści nawet i służących im za pożywienie i przykrycie roślin. Drogą obserwacyi myśliwi zdobywają często cenne dla przyrodników dane. Dość przypomnieć hr. Ludwika Wodzickiego (który bynajmniej jedynym nie jest) i jego „Zapiski ornitologiczne," aby zrozumieć, jaką pomocą dla rozwoju nauk przyrodniczych może być liczna rzesza zamiłowanych spostrzegaczy. To też ktokolwiek z pośród nemrodów posiada odpowiednie inteligentną cierpliwość do podpatrywania mieszkańców naszych pól i lasów w ich życiu codziennem, ten ma obowiązek zdobywać nowe przyczynki do naszego przyrodoznawstwa.

Powyższy jednak obowiązek jest wspólnym dla myśliwych wszystkich krajów, gdy tymczasem myśliwy polski ma jeszcze inne zadania, wypływające z owego smutnego faktu, że narodowość nasza choruje na szczególne zaniedbanie historyi naturalnej.

Dowodów na to mamy aż do zbytku. Wśród młodzieży uniwersyteckiej, nie wiem, czy jedna dziesiąta studjuje przyrodę; wśród starszego pokolenia, jeżeli nawet o rolnikach mowa, trzeba nieraz powiat przejechać zanim się spotka gruntowniejsze wiadomości przyrodnicze. Nareszcie w naszem piśmiennictwie historya naturalna zajmuje tak mikroskopijne stanowisko, że bylejaka inna kwestya może się poszczycić większem zainteresowaniem, niż ów podstawowy dział wiedzy ludzkiej. Gdyby przegląd większości bibljotek prywatnych nie rozwiał wszelkich pod tym względem wątpliwości, to już będzie dość powiedzieć, że wobec dziesiątków różnych gazet i wydawnictw peryodycznych, ogólnych i specyalnych, posiadamy jedyny tylko tygodnik przyrodniczy „*Wszechświat*." Jakże dziwnie wobec tego wygląda ten fakt, że „Wszechświat" ma zaledwo 600 *wyraźnie sześciuset* prenumeratorów, gdy inne wydawnictwa posiadają ich po kilka i nawet po kilkanaście tysięcy.

Jeszcze jaskrawiej, jeżeli tego potrzeba, występuje inny fakt, że wydawany corocznie tom *Pamiętnika Fizyograficznego*, który zawiera oryginalne prace przyrodników polskich, drukuje się w pięciuset, a rozchodzi *w trzystu egzemplarzach!*

Ta obojętność naszego społeczeństwa *dla jedynego pisma przyrodniczego* byłaby wprost niezrozumiałą (wobec wielkich zalet wydawnictwa), gdyby nie była logiczną konsekwencyą zupełnego nieodczuwania potrzeby kształcenia się w tym kierunku. Nie tu miejsce zastanawiać się szerzej nad niezmierną szkodą, jaką sobie samemu wyrządza nasze społeczeństwo, odwracając się uparcie od olbrzymiego obszaru wiedzy, zdobytego przez liczne nauki przyrodnicze.

Tam gdzie w umyśle inteligentnego ogółu brakuje tak pierwszorzędnego czynnika, tam i logika społeczna szwankuje i cierpi, tak, jak ptak zbarczony, posługujący się tylko jednem skrzydłem.

Oprócz braku ogólnej równowagi w rozumowaniu społecznem, ponoszą tysiące strat jednostki. Tak się dzieje na każdym kroku w rolnictwie, tak też na polu hygieny. Ztąd także pochodzi u nas wielki brak swojskich wynalazków, któremi nas zalewają i eksploatują nasi przedsiębiorczy sąsiedzi. Nie łatwo poprawić taki stan rzeczy, oparty na błędnem wychowaniu wielu pokoleń, które zapomniały, że naród, co przed wiekami wydał Kopernika, Ciołka, Śniadeckich, Wagów i wielu innych uczonych mężów, nie powinien był zaniedbywać wyraźnych zdolności do studyów przyrodniczych.

Co wieki zepsuły, to tylko praca pokoleń naprawić zdoła, ale cegiełkę do tego odrodzenia my sami z łatwością przyłożyć możemy i oto zwracam się do Was, Koledzy Myśliwi, i gorąco zachęcam do poparcia usiłowań tych dziwnie wytrwałych pracowników, którzy wydają „Wszechświat." Jeżelim nazwał tę garstkę naszych przyrodników — wytrwałymi, tom za mało powiedział, bo oni zasługują na miano upartych w dobrem, gdy chodzi o tak niesłychaną obojętność społeczeństwa, dla którego pracują.

Dotąd nie skutkowały żadne odezwy „Wszechświata." Nie pomogły ani prośby, ani nagany, że wielomiljonowy naród ma wśród siebie *zaledwie sześciuset ciekawych* tego, co się w naturze dzieje.

Ale tak nadal być nie powinno, bo przecie wśród tak licznych naszych myśliwych muszą być ludzie szczerze do natury przywiązani i wdzięczni jej za to, że im ona tyle rozkoszy co rok gotuje w postaci różnorodnych łowów, w postaci wspaniałych ranków, cichych wieczorów, głosów wszelkiej zwierzyny, przelotów ptac-

LIS-KUNA.

Gawęda myśliwska, osnuta na wspomnieniach polowań Sławuckich,

ofiarowana d. 28 lutego 1901 r. J. O. Xięciu Romanowi Sanguszce

PRZEZ

Artura Śliwińskiego.

(Dokończenie)

Zrobiono już trzy mioty, padł odyniec stary,
I kozłów kilka, ale moje okulary
Nie dały się spróbować, pomimo czekania,
Bo nie miałem dnia tego z zwierzyną spotkania!
Po trzeciem zakładzie miało być śniadanie,
Gdzie to rola gospodyń przypada na Panie.
Trzeba więc iść ku sankom, które widać wdali;
Słychać rżenie arabów i ogień się pali,
Idą zatem i damy, idą i panowie,
Bo podjeść coś ciepłego, to zawsze na zdrowie!
Doszedłszy zaś do sanek, raźno i wesoło
Stół improwizowany otaczamy w koło,
Niejeden dowcipkuje, ten znów rezolutny,
Boć przecie na polówkach nikt nie bywa smutny.
Wszelka więc rozmaitość jest tego obrazu:
Ot, służba, jako sprytna, nawet bez rozkazu,
Rozwinęła w ten moment swą działalność szparką,
A Xiążę Pan myśliwych raczy swoją starką.

Ale bo też i starka! choćby ci krew skrzepła,
Gdy wychylisz kieliszek, wnet się zrobi ciepła.
A gdy się uda wsunąć i drugi kieliszek,
To gorąco poczujesz w środku wszystkich kiszek.
Dalej wyjmują łyżki, widelce i noże,
A każdy sobie radzi, jak umie, jak może.
Tu rozlewają bulion gorący w kubeczki,
Ów podchodzi, gdzie stoją pełne buteleczki;
Tam znów ser, chleb i bułki nożem ostrym krają,
A damy na talerzach bigosik rozdają.
Tak zaś wszystkich uprzejmie i mile częstują,
Że myśliwi formalnie bigos atakują!
Znać dzielni do ataku, bo w kwadrans niecały
I rondle i talerze prawie próżne stały!
Na znak końca śniadania, nasz nadleśny mały
Do dalszego pochodu dał trąbką sygnały.
Każdy idzie do broni o drzewa opartej
I dążymy wesoło, tam gdzie zakład czwarty.
Na tym właśnie zakładzie, który był niewielki,
Gdy stałem w towarzystwie ładniutkiej Angielki,
Widzę, lubo zdaleka, że lis na mnie kroczy,
Trochę wydał się mały, lecz wytężam oczy
I śledzę jego ruchy w sosnowej drzewinie.
Wtem coś migło i lisek z oczu moich ginie,
Tak, jak gdyby się pod nim ziemia rozstąpiła.
Pytam cicho: co to jest? A sąsiadka miła,
Która dawno na liska zwracała swe oko,
Szepnęła, że zwierz wskoczył na drzewo wysoko!

Gdyby tak żył na świecie Jmci Garbowiecki,
Co miał Drzewoszki Wielkie, niedaleko Płocki,

twa i tego uroku, który tylko odczuć się daje, a nie da się opisać piórem zwykłego śmiertelnika.

Niechże się owa szlachetna wdzięczność na początek tylko w tem wyrazi, aby posłać dziesięć rubli rocznie na Krakowskie Przedmieście pod Nr. 66 na prenumeratę „Wszechświata!"

Nagroda za dobry uczynek nie każe na siebie długo czekać, bo w domu przybędzie nowe źródło najpożyteczniejsze wiedzy, młode pokolenie będzie czerpało z niego impuls do rozwijania w sobie drzemiących w nas starszych przyrodniczych zdolności.

Mógłbym na tem zakończyć moją odezwę do serc Kolegów Myśliwych. Jest ona sama przez się dość wymowna. Ale nie mogę zamilczeć rzeczy wyjątkowej wagi, że w gronie współpracowników „Wszechświata," których nie znając osobiście, od lat wielu podziwiam, są jednostki niezwykle uzdolnione na polu popularyzacyi wiedzy. Nie myślę ich wszystkich wyliczać. W roku zeszłym pomieściło swe prace 86 autorów. Wystarczy zacytować dla przykładu takie nazwiska, jak Znatowicza, Siemiradzkiego, Radlińskiego, Flauma i nieporównanego popularyzatora—Kramsztyka, którego za jego „Szkice przyrodnicze" śmiało można porównać z Tyndallem.

W innych społeczeństwach praca przyrodników jest ułatwioną przez oddane im katedry uniwersyteckie, oraz laboratorya. Pomimo takich środków pomocniczych owe społeczeństwa, rozumiejąc i oceniając trudność pracy i jej pożytek, okazują swoim uczonym należną wdzięczność. U nas to samo zadanie wzięli na swoje barki ludzie, mogący liczyć tylko na własne siły i środki. Nieraz dla chleba zmuszeni są oni zajmować urzędy, nie mające nic wspólnego z ich specyalnością, a najżmudniejsze prace przyrodnicze przygotowują w chwilach, które powinniby poświęcić na wypoczynek.

Za piękne rezultaty ich szlachetnych, a tyloletnich wysiłków należy im się od nas przynajmniej tyle poparcia, ile go może dostarczyć prenumerata pisma, należy się ta pewność, że głos ich pracowity nie pójdzie zupełnie na marne!

Władysław Jelski.

Wyprawa myśliwska do Sudanu

przez

Jana Sztolcmana.

(Dalszy ciąg).

I znów zaczęły się długie chwile oczekiwania. Nieżywe koźlę majaczyło przed nami czarną plamą. Mohamed przysunął sobie kubek i począł zwolna żuć kukurydzę, rozgryzając twarde ziarna z pewnym chrzęstem. Trwało to dość długo, gdy wydało mi się, że obok chrupania shikarego, słychać inne, jakby chrupanie kości. Jednocześnie Mohamed dotknął mego kolana i wskazał w stronę koźlęcia. „Assad?" spytałem go szeptem, lecz kiwnął głową, że nie. „Marfain?" (hyena). „Ai-wa" (tak)—odpowiedział. „Więc trzeba sprobować zabić hyenę, kiedy się ze lwem nie udało" pomyślałem sobie i znów zmierzyłem się w tę stronę, bom absolutnie nic nie widział i strzeliłem. Tak jak i za pierwszym razem, cisza grobowa zaległa po strzale. Zwierz uszedł.

Lecz nie upłynęło kwadransa, gdyśmy usłyszeli znów chrupanie kości. Znów strzał i znów cisza. Ten strzał był jakiś nienormalny, gdyż mnie o mało nie wywrócił. Jednocześnie uczułem silny ból w nosie: krew obficie uchodziła z rany, jaką mi strzelba swem uderzeniem zrobiła. Zły już byłem na tę moją nieudolność widzenia wśród ciemności. Czekałem jeszcze czas jakiś (była wtedy godzina 10 i pół), aż wreszcie znudzony, zapaliłem ostatniego papierosa; lecz jeszczem go nie dopalił, gdy Mohamed schwycił mnie za kolano: „Nemer" (pantera)—rzekł szeptem, wskazując mi palcem. „Skoro się nas nie boi—pomyślałem—bo przecież musiała widzieć, że ja papierosa palę, to ja ją spróbuje mym ręcznym akumulatorem oświecić." Wysunąłem więc rękę przez otwór zeriby i nacisnąłem guzik akumulatora. Lecz światło było za słabe, aby cośkolwiek mogło mi pomódz. Wtedy sprobowałem innego sposobu. Zmierzyłem się do gwiazd, a potem, nie odejmując strzelby od twarzy, przesunąłem lufy w otwór i mierząc nieco ponad czarny cień koźlęcia, strzeliłem. Po strzale rozległo się kilkakrotne jakby silne i grube miauknięcie, słychać było szelest uciekającego zwierza. „Idrop" (raniona) — rzekł mi z radością Mohamed.

„Nareszcie"—pomyślałem sobie, bo już mi ta bezowocna strzelanina kością w gardle stanęła. A teraz

W sąsiedztwie Dobrzelina a w Kutanowskiej ziemi
Zasłynął dowcipami i figlami swemi,
Gdyby na polowaniu był obecny z nami
I do tego dowodził naszymi huczkami,
Uwierzyłbym, że lisek na sosnę się wdrapał,
Jak dowodził myśliwski Angieleczki zapał.
Potrafił on myśliwym figlo płatać bowiem,
A jako dowód tego, jeden z nich opowiem.
Urządzał raz polówkę dla wspólnej zabawy,
Prócz sąsiadów miał być też myśliwy z Warszawy;
Myśliwy, lecz dyletant, mało doświadczony
A miał kwalifikacye—kłamca był skończony!
Fuzya, torba nowiutkie, paskiem mocno spięty
W ubraniu żurnalowem, tak jak z igły zdjęty;
Opowiadał sukcesa, jak to mu się wiedzie,
Gdy poluje na dziki, albo na niedźwiedzie.
Lecz lubo w okolicy od niedawna bawił,
Stwierdzono, że wierutne bajki tylko prawił.
Od kolegów się bowiem jego dowiedziano,
Że między myśliwymi miał on fryca miano!
Garbowiecki nie lubił kłamstw przepuszczać płazem,
Więc myślał go ukarać i zawstydzić razem.
Z Maćkiem przeto, co wodził naganki drużynę,
I co miał dość sprytną, filuterną minę,
Rankiem spełnioną była ciekawa robota
Oto w skórkę zajęczą domowego kota
Zaszyto po mistrzowsku, słuchy miał stojące,
Jak to zwykle w kicaniu trzymają zające;
I omyk gdzie należy, a tylko jedynie
Zostawiono swobodne łapeczki kocinie;
W ten zaś sposób przebrane, postać kota taka,
Miała wypaść koniecznie wprost na Warszawiaka!
Misyę swoją ów Maciek spełnił co się zowie,
Wiedział dobrze, gdzie staną myśliwi panowie,
Gdzie umieszczą z Warszawy myśliwca sławnego,
Więc się starał, ażeby wyjść prosto na niego,
Jak go zaś tylko zoczył, zaraz z oddalenia,
Postanowił wykonać dane mu zlecenia.
Spuścił kota na ziemię, a pomnąc rozkazy,
Kropnął go paskiem dobrze jakieś parę razy
A potem na dobitke, ten Maciek niecnota,
Całą piersią zakrzyczał: pilnuj! pilnuj kota!
Kocisko zmyka zatem, niby oparzone
I sunie jak potrzeba—w warszawiaka stronę;
Ten strzelił, lecz spudłował, a kot gdy go zoczył,
W mgnieniu oka co prędzej na brzozkę poskoczył
Warszawiak rozpalony dał znów ognia z fuzyi:
Bach! Miau! Myśliwy omal nie zemdlał z konfuzyi,
Tem zaś więcej, że kotek, śrótem zadraśnięty,
Miauczał i miauczał w sposób niepojęty.
Myśliwi wszyscy dążą, na to miauczenie;
Warszawiak nic nie mówi, zachował milczenie.
Lecz jak tylko po minach odgadł, co się święci
I widząc, że się cało z tego nie wykręci,
Zaraz pod pozorem jakiejś pilnej sprawy
Pierwszym pociągiem prysnął prosto do Warszawy.
Figla tego nie bierzcie do serc, warszawiacy,
Bo ten co go wypłatał, poczciwy Ignacy,
Znał, co to polowanie, nieraz się odzywał,
Że gdy z warszawiakami na polówkach bywał,
To nikt im w celnych strzałach nie dorównał prawie
I że dzielnych myśliwych jest wielu w Warszawie!

kiedy już lew strzałem spłoszony, hyena (?) również, a pantera postrzelona, nic już chyba nie przyjdzie do zeriby. Najlepiej więc jest zasnąć (była wtedy godzina 11-a). Dałem do zrozumienia Mohamedowi, że ja spać będę, a on niech czuwa, co gdy zrozumiał, owinąłem się w kołdrę i wkrótce zasnąłem. Lecz sen nie bardzo trzyma się człowieka, gdy się ma w perspektywie, że lada chwila może przyjść jaka bestya i wziąć go za czupryne. Budzę się, patrzę na zegarek przy świetle akumulatora—dwunasta; zasypiam, budzę się—wpół do pierwszej, potem pierwsza. Owinąłem się dobrze w kołdrę, bo noc była dyabolnie chłodna, jak na 12° szerokości, zamknąłem oczy, lecz w chwili, gdy sen zaczynał odrętwiać me ciało, uczułem nerwowe ściśnienie kolana. „Assad, assad"—mówił szybko Ahmed, a miecz swój już trzymał w ręku. Chwyciłem za broń, roztworzyłem szeroko zaspane oczy, lecz wśród ciemności nic widzieć nie mogłem. Słyszałem tylko jakiś niewyraźny szelest i Ahmed mimiką dał mi do zrozumienia, że lew uniósł koźlę. Widocznie jednak daleko z niem nie uszedł, bo wkrótce rozległo się wśród ciszy nocnej chrupanie kości i glamanie... Siedziałem na mem krześle, bezsilny wobec niewidzialnego zwierza i słuchać musiałem cierpliwie, jak ucztował w odległości może kilkunastu kroków... Trwało to 20 minut lub pół godziny...

W tem shikari chwycił mnie prawę ręką nerwowo za kolano, a lewą sięgnął po szablę... „Assad, assad, assad"—powtarzał szybko szeptem. Zrozumiałem, że lew idzie na zeribę. I w umyśle moim przemknęła myśl, że potężny ten wróg, zakąsiwszy koźlęciem, czem sobie tylko apetyt zaostrzył, myśli teraz o nas, bo cóż innego mogłoby go skłonić do tego kroku. I wtedy zdjął mnie strach. Gwałtowną pantominą dałem do zrozumienia Mohamedowi, że nic nie widzę; wtedy on skierował moje lufy, ja się do osady przyłożyłem i huknął strzał wśród ciszy nocnej. Słucham... cisza jak w grobie. W tem rozległo się tuż w blizkości straszne, ponure stęknięcie, w którem słychać było, jakby słowa: „drżyjcie przede mną:" potem drugie, trzecie.... a zatem nizkie potrójne ryknięcie tak straszne, że krew się ścięła w żyłach.... Słychać szelest kroków po suchych trawach, a potem znów cisza.

Położenie moje było tak przykre, że stanąłem w zeribie, nad którą o całą głowę górowałem, w nadziei, że przez wierzch zobaczę cień jaki i będę w stanie strzelić. Nic jednak nie mogłem wśród ciemności dostrzedz. Mimowoli przypomniał mi się senaarski *man-eater*, jak brał z zeriby swą ofiarę; lecz cóż było robić: wolałem to, jak siedzieć na krześle z myślą, że lada chwila spadnie mi na głowę potężne ciało drapieżnika. Cisza panowała zupełna, więc siadłem znów na krześle. Lecz po chwili rozległo się straszne stękanie,—tym razem już za nami: lew wkoło zeribę obchodził.

I zaczęły się dla mnie chwile niepewności bez końca. Lew ciągle zeribę okrążał, stękając i rycząc od czasu do czasu. Niekiedy podchodził tak blizko, że słychać było jego ryk straszny tuż, tuż przy nas, czasami szeleścił po sąsiednich trawach. Pierwotne uczucie strachu w skutek dziwnej reakcyi psychicznej zamieniało się czasami we mnie w złość przeciwko temu wrogowi, który mnie w tak przykrej pozycyi trzymał. Wstawałem wtedy w zeribie, spodziewając się go ujrzeć, lecz gdy nic nie mogłem zobaczyć, strzelałem z mannlichera w tę stronę, aby nieprzyjaciela trzymać w respekcie. Tak mało na to zwracał uwagi, że nieraz wnet po strzale rozpoczynał swój ryk przejmujący.

Z jakąż radością spostrzegłem, że księżyc w ostatniej kwadrze wysunął się już nad horyzont i oświecał swem bladem światłem wierzchołki wyższych drzew i krzaków. Liczyłem, że przy tem słabem świetle albo będę mógł lwa dojrzeć i strzelić do niego, albo, że on się raz do dyabla wyniesie. Było wtedy nieco po 3-ej. Jakżeż wolno skracał się cień mojego kopca termitowego! Aż wreszcie o godzinie 4-ej, gdy całą polankę przedemną oblewało blade światło księżyca, lew ryknął potężnie. Mohamed dał mi znać ręką, że sobie poszedł. Jakoż nie słyszeliśmy już go więcej.

Tak więc 3 godziny spędziliśmy wśród strasznych chwil niepewności, licząc, że każdej chwili lew mógł przeskoczyć zeribę, do czego zresztą nie brakło mu widocznie ochoty i tylko wstrzymywał go strach, że ci ludzie tam w zeribie czuwają bezustanku. Gdyby to był *man-eater*, sprawa z nami skończyłaby się mniej pomyślnie.

Otuliłem się w kołdrę, bo chłód był przejmujący i starałem się zasnąć, lecz sen skutkiem silnego zdenerwowania nie imał się mych powiek. Świtać też wkrótce zaczęło, a gdy na pół rozedniało, usłyszałem hopanie Hrabiego, który z ludźmi przyszedł dowiedzieć się, co się ze mną dzieje. Obejrzeliśmy tropy lwa i poszliśmy za niemi ze 300 kroków. Śladów farby na strzale nie było, więc Hrabia, spiesząc naprzód, nie radził tracić czasu na niepewnego postrzałka — panterę. Zgryziony niepowodzeniem i skostniały od zimna, wróciłem wraz z innymi do obozu, gdzie na nas już czekała gorąca herbata.

Zaraz po 8-ej wyruszyliśmy z obozu, pozostawiając za sobą karawanę. Droga prowadziła wciąż starem

---

A że fryca ukarał, to nie za złe strzały,
Lecz za kłamstwa, co się wprost kpinkami wydały,
Więc, jak dyletantowi, chciał mu dać nauczkę
I dla tego wymyślił tę pocieszną sztuczkę!
Tak, tak, z Garbowieckiego figlarz był nielada,
Bywało siedzi w kątku cicho i układa
Godzinami całemi psoty, krotochwile,
A w każdej wesołości i humoru tyle!
Większym w dowcipie mistrzem nie był i Zagłoba!
A że humor to życia naszego ozdoba,
Więc za Panem Ignacym przepadali wszyscy,
Starzy, młodzi i dzieci i dalsi i bliscy!
Lecz dziś ów Garbowiecki już w grobie spoczywa,
Czasy inne, wesołość coraz rzadszą bywa,
Tak, nawet wśród myśliwych, komuż by ochota
Przyszła dziś, by w zająca przeistoczyć kota?
Alem odbiegł od rzeczy. Na czem to stanęło?
Ach prawda, jak lisiątko na drzewo pomknęło!
Otóż, na takie *dictum* ładniutkiej Angielki,
Lubo ze mnie z natury nie jest śmieszek wielki,
Trza było siły, by się nie uśmiać serdecznie!
Ale że w obec damy śmiać się jest niegrzecznie,
Stłumiłem śmiech i czekam, co to będzie dalej.
I widzę, jak naganka przez to miejsce wali,
Gdzie ów lisek przycupnął. Znów wysilam oczy,
Widzę, jak koło sosny jeden z huczków kroczy,
Lecz lisa ani oko, znać, że w samą porę
Skryć się musiał w tem miejscu w jakąś lisią norę!
Nie mogłem bo inaczej tego wytłómaczyć,
I cóżby bowiem miało to zniknięcie znaczyć?
Czekam dalej spokojnie, przy drzewie nad dróżką
Obok mnie z lewej strony stał Xiążę Sanguszko.
Wtem, o kroków czterdzieści, bo nie było dalej,
Patrzę, lis się pokazał i na lewo wali,
Jak by wyrosł z pod śniegu. „Pilnuj lisa" krzyczę
I tylko na sekundy jego życie liczę,
Ale strzału nie słychać, ni uderzeń kurka,
A Xiążę woła: „Nie lis! to coś, jak wiewiórka!"
Wiewiórka—nie, bo skacze, a to szło jak struna,
Pomyślałem i mówię: „Ha, to chyba kuna,
Boć przecie kolor inny i bieg i skład cały,
Wiewiórki ich nie mają i nie będą miały,"
„Jest racya!" Xiążę na to „tak, tak, kuna była
I ujrzawszy mnie prędko na drzewo skoczyła.
Ach, szkoda, żem nie strzelił, lecz wskutek wykrzyku:
Pilnuj lisa! zostałem zbity z pantałyku!"
Biegnę więc w stronę Xięcia—patrzymy na sosnę,
Za chwilę jednak znowu w swej radości rosnę,
Bom ją dojrzał, siedzącą wysoko na sęku,
A że i broń nabita była w mojem ręku,
Składam się, lecz i Xiążę także w górę spojrzał
I gdy kunę siedzącą na tej sośnie dojrzał,
Więc też ku niej zmierzyły dwie nasze dwururki
I jakgdyby zgryzł orzech—padły oba kurki,
Rozległ się huk dwoch strzałów, nie potrzebny trzeci,
Bo kuna z wysokości wprost na ziemię leci,
Lecz upadłszy, w tej chwili znowu nam pomyka
I z jednego na drugie drzewo sobie skika,
Aż dotarła do sosny olbrzymich rozmiarów,
Na której to, przy wielkiej ilości konarów,
Mogła znaleźć bezpieczne dla siebie schowanie.
My jednakże za kuną biegniem co sił stanie,

łożyskiem Nilu, które miejscami rozszerzało się znacznie, tworząc obszerną dolinę, to znów zwężało. Pośrodku tej doliny rozciągało się spore jeziorko, na którem stada kaczek (*Dendrocygna viduata*) żerowały tą wczesną porą. Stefan, jako główny dostawca ptaków na kuchnię, zlazł ze swego osiołka, bez trudu podkradł się do stada i kilkoma strzałami zabił trzy kaczki, między któremi jedną zwyczajną cyraneczkę.

Minąwszy jeziorko, wkroczyliśmy do suchego łożyska rzeki, zarośniętego miejscami krótką zieloną trawą, to znów wysoką suchą trzciną, aż wkońcu, koło godziny 10-ej, porzuciwszy dawne łożysko Nilu, wkroczyliśmy do gęsto zarośniętej dżungli. Zaczęły się pojawiać pierwsze okazy pięknej wachlarzowej palmy, drzewa były tu większe, jak spotykane dotychczas. Wkrótce potem Ahmed Idris zatrzymał konia i pokazał nam szeregi wielkich dołów, mogących mieć blizko łokcia średnicy i przynajmniej $^3/_4$—głębokości. Były to tropy słoni, pozostawione jeszcze w czasie pory dżdżystej, kiedy grunt od ciągłych deszczów rozmięka, a miejscami nawet pokrywa się niewątpliwie wodą. Jak przy pierwszym tropie lwa, tak i tutaj doznałem niezwykłego wrażenia na myśl, że znajduję się w kraju, gdzie przebywa ten największy z dziś żyjących czworonogów, o którym tyle się naczytałem w opisach eksploratorów i myśliwych afrykańskich. W podobnych chwilach człowiekowi pomimowoli przychodzi na myśl, czy nie śni przypadkiem, tak małoprawdopodobną wydaje mu się rzeczywistość. Niemniej w tym wypadku widok tropów słoni napełnił dusze nasze niewypowiedzianą radością, że nareszcie po tak długiej podróży dotarliśmy do okolic, gdzie te zwierzęta spotkać można.

Posuwaliśmy się dość szybkim truchtem, gdy naraz usłyszeliśmy za sobą jakiś krzyk, jakby nawoływanie. Hrabia spodziewał się gońca z Karkocz z odpowiedzią na telegram do Omdurmanu w kwestyi parowca na Białym Nilu; przypuszczaliśmy więc, że to umyślny nas goni. Okazało się wszelako, że to jeden z ludzi naszej karawany pędzi za nami na rasowym wielbłądzie*), przynosząc niezwykłą wiadomość, że trzy lwy zaległy na samej drodze i nie chcą puścić karawany.

Nie było czasu do namysłu. Hrabia oddał oba swe sztucery (cal. 450 i 303) Arabowi na wielbłądzie, ja chwyciłem mego mannlichera i poprzedzani przez obu shikarich—Idrisa i Mohameda — pogalopowaliśmy nazad; za nami pędził na swym wielbłądzie Arab, poganiając krzykiem swego krnąbrnego wierzchowca, który strasznym rykiem manifestował swe niezadowolenie z tak szybkiej jazdy.

Był to szalony galop po wijącej się wśród kępiastej trawy ścieżce, gdzie lada chwila nasze konie potknąć się mogły, narażając nas na ciężki upadek. Ja w pośpiechu bata nie wziąłem, krzykiem więc i piętami ekscytowałem mego rumaka, którego widocznie siły zaczynały opuszczać. Galopowaliśmy tak ze 20 minut, gdy na zakręcie doliny spostrzegliśmy wreszcie w odległości $^1/_2$ wiorsty rozsypaną karawanę; ludzie stali i pokazywali coś ku gąszczom, za nimi wielbłądy spokojnie żerowały.

Gdyśmy dopadli do karawany, dowiedzieliśmy się, że dwa (a nie trzy) lwy—lew i lwica—po naszem już przejściu zasiadły jak psy na samej drodze i gdy karawana do nich podeszła, mimo krzyku ludzi, ruszyć się z miejsca nie chciały. Wygląda to na opowiadanie z „Tysiąca i jednej nocy", aby dwa lwy mogły powstrzymać pochód karawany, złożonej z 50 ludzi i 24 wielbłądów; a jednak musieliśmy dać temu wiarę wobec niezbitych faktów. Dragoman Shaya powziął doskonałą myśl posłania za nami gońca, który lwy objechał gąszczem i nas dogonił. Oba lwy na chwilkę przed naszym przyjazdem zeszły z drogi do gąszczu, nie dla tego jednak, aby się ludzi bały, lecz, prawdopodobnie dla tego, że im skwar słoneczny dokuczać zaczynał. Jeden z nich stał jeszcze na brzegu dżungli i jego to ludzie palcami pokazywali.

W czasie galopu tak nam w gardłach pozasychało, że literalnie językiem poruszać nie mogliśmy; szybko więc odwilżyliśmy usta wodą. Hrabia oba swe sztucery nabił, sam wziął 450, Fadilowi dał 303; ja podciągnąłem sprężynę mannlichera i tak ruszyliśmy we dwóch ku gąszczowi, poprzedzani przez młodego shikarego. Zrobiwszy jakie sto kroków, Fadil zatrzymał się i ręką wskazał ku dżungli. Wysunęliśmy się z za krzaka, który nam widok zasłaniał i zrównawszy się z Fadilem, spostrzegliśmy w odległości 70 kroków wspaniałego zwierza. Stał prawie bokiem do nas, odwróciwszy ku nam swą dumną głowę. Cienie krzewów, pod któremi się znajdował, tworzyły na jego ciele rodzaj plam i żebrowania. Patrzał wprost na nas, jakby z pogardą; gdyśmy jednak parę kroków zrobili, aby się zbliżyć do niego, ruszył, lecz znowu stanął. Nie było rady, trzeba było z tego miejsca strzelać, bo jeszcze kilka kroków i upragniony zwierz skryje nam się wśród gąszczu dżunglowego.

Stanęliśmy więc i spokojnie zmierzyliśmy do groźnego nieprzyjaciela. Ja mierzyłem na komorę i trzymałem go już na muszce, nie chcąc jednak psuć Hra-

*) Wielbłądy takie, zwane *mehari*, służą do szybkiej wierzchowej jazdy.

Dobiegłszy zaś, spoglądam, coś niby się rusza
I jakoś od wierzchołka śnieg trochę porusza,
Więc baczniej obserwuję, znów wytężam oko,
Zoczyłem wreszcie kunę, choć bardzo wysoko,
Palę zatem, a ona spadając ku ziemi,
Widocznie, źle raniona łapeczkami swemi
Zawisła na dębczaku, lecz Xiąże poprawił
I ostatecznie przecie życia jej pozbawił!
Wtedy stała się jasną przyczyna zniknięcia,
I zjawienie się raptem przedemną zwierzęcia.
Angielka miała racyę w tem, jak zapewniała,
Że zwierzę wchodzące na drzewo widziała;
Kuna znać z tego drzewa, przez chwile dość długie,
Przeskakiwała sobie z jednego na drugie.
Aż nareszcie chybiła w jednym ze swych skoków,
I upadła przedemną o czterdzieści kroków.
Mogłem strzelić coprawda, ale nie wypada
Strzelać, kiedy zwierz idzie prosto na sąsiada.
Tak nam jedno z przykazań myśliwskich wskazuje,
Kto ich nie zna, niech „Łowca" kalendarz kupuje.
Może to i dobra jest zasada taka.
Bo zdarzyło się nieraz, że puszczę szaraka
Sąsiadowi a szarak, okpił w całej sprawie
I bez strzału zawrócił—prosto ku obławie!
Co do kuny, to miała włos żółtawy czysty,
Objętość nadzwyczajną, a ogon puszysty,
Długość zaś jej od noska do konca ogona,
Gdy była skrupulatnie przezemnie zmierzona,
Centymetrów osmdziesiąt wyniosła z okładem,
W przodzie swym nieco niższa, ale wyższa zadem,
Za lisa ją poczytać można było prawie,
Z uwagi na szkła takie, jak były w oprawie!
Przy tem i służba leśna orzekła odrazu,
że nie widziała w życiu takiego okazu!
Kunę tę, jako rzadkość, dał mi w upominku
Xiąże, stoi wypchana u mnie na kominku.
A kiedy na nią spojrzę, myślę, na wzrok stary,
Nie pomogą już chyba żadne okulary.
A więc i te com kupił, co tak powiększały
I co do tej gawędy temat mi podały,
Schowałem do szuflady, już ich nie używam,
I znów bez okularów na polówkach bywam.
A choć do kozłów teraz nie kwapię się wcale,
Dzika, lisa lub kota to często powalę!
Wreszcie dla mnie, com w życiu, upolował tyle,
Polówka nie dla tego przedstawia się mile,
Żeby strzelać, zabijać—ma swe inne strony!
Na niej się człowiek czuje, jakby odmłodzony,
Zapomina o troskach, które życie niesie,
A gdy się znajdzie w pięknym i szumiącym lesie,
I myślom puści wodze, to na każdym kroku,
Tyle tam piękna widzi i tyle uroku,
Że kto kocha naturę, wpada w upojenie
I za te cuda niesie Stwórcy uwielbienie!
By jednakże te piękna, te cuda zrozumieć,
Trzeba kochać naturę, odczuć wszystko umieć,
A wtedy od trosk życia mając wolną głowę,
Człek w polówce do pracy czerpie siły nowe!
Wiwat więc polowanie! co nam siły daje,
Niechaj do końca świata nigdy nie ustaje!

biemu strzału, czekałem, aż detonacyę usłyszę. I gdy runął strzał, ja pociągnąłem lufami, wiedząc z doświadczenia, że zwierz ruszy i cyngiel nacisnąłem.

Po tych dwóch, prawie współczesnych strzałach lew ani nie ryknął*), ani też znaku nie dał. Wydało mi się tylko, że gdy ginął w gąszczu, zadem jakby pociągnął.

— Teraz pójdziemy za postrzałkiem, rzekł do mnie Hrabia, nabijając wystrzeloną lufę.

Chciałem i ja zmienić ładunek z magazynu, lecz mechanizm się zaciął i niepodobna było zamknąć sztucera. Hrabia wziął go do ręki, lecz też nic nie mógł poradzić. Wtedy dał mi swój cal 303, nabity kulami w półpancerzu niklowym. Stary Ahmed Idris, który dotychczas szedł za nami, wysunął się teraz naprzód: jego obowiązkiem było prowadzić nas po tropie, co też spełnił, nie czekając rozkazu.

Była to chwila niezwykle uroczysta. Każdy z nas wiedział, że postrzelony lew w dziewięciu wypadkach na dziesięć rzuca się, gdy iść po jego tropie; a w tym razie niebezpieczeństwo było tem groźniejsze, że gęste krzaki i wysoka do pasa trawa stanowiły doskonałe zakrycie dla ranionego zwierza. Mimo więc najbystrzejszego wzroku można było zetknąć się z nim oko w oko, a wtedy biada nam.

— Będzie źle, myślałem sobie; ktoś z nas może skórą opłacić tę całą awanturę.

Szliśmy tak zwolna — przodem Ahmed Idris, za nim my dwaj obok siebie, gdy jednak nieco dalej krzaki się ścieśniły, zmuszony byłem iść za Hrabią. Żaden z nas dwóch nie wiedział, czy lew jest raniony, czy nie, bo ani nie było czasu tropów badać, ani też Idrisa o to pytać. Cała nasza uwaga wytężona była na boki z myślą, że wnet usłyszymy straszny ryk i ujrzymy szarżującego zwierza. Chwilami robiło mi się żal starego shikarego, który nie posiadając broni, był wystawiony na największe niebezpieczeństwo, jako przodem idący. Trudno jednak bawić się w sentymenta: Idris widział, na co się godzi.

Trop skręcił raz pod prostym kątem na lewo, nieco dalej znów—na prawo. Zrobiliśmy tak ze 150 kroków od strzału, gdy naraz Fadil, idący o kilka kroków za mną, dogonił mnie, schwycił silnie za rękę i rzekł szybko szeptem „Assad, assad." Odwróciłem się, lecz ponieważ z tego miejsca już nic widać nie było, więc, nie uprzedzając Hrabiego, szybko cofnąłem się za Fadilem z 10 kroków i stanąwszy obok niego ujrzałem lwa w odległości 20 kroków na lewo od naszego pierwotnego kierunku. Leżał w cieniu rozłożystego krzewu, na górce, nieco wyżej naszej pozycyi, zwrócony do nas prawym bokiem, z głową dumnie do góry podniesioną... Patrzył nam prosto w oczy.

Wiedziałem, że tu w grę wchodzi moje lub Fadila życie, więc spokojnie, lecz szybko zmierzyłem w łeb i cyngiel ściągnąłem. Lew, jak piorunem rażony, wywrócił się, rozkraczając szeroko swe potężne łapy.

(D. c. n).

Strzelba myśliwska

JEJ WYRÓB I PRAKTYCZNE ZASTOSOWANIE

PRZEZ

Jerzego Kocha.

Tłómaczył z niemieckiego **J. Kraszewski**.

(Dalszy ciąg).

Gdy się zamyka strzelbę, eżektor posuwa się ku wylotowi, sprężyna spiralna *S* się kurczy i pozostaje za pomocą drugiej sprężyny *F*, umieszczonej na sztyfcie, w tej samej pozycyi do następnego otwarcia broni. Przy opadaniu luf w nicie (*Charnier*) *D* ciśnie żelazko *c* na koniec sprężyny *F*, wskutek czego mechanizm, wyrzucający naboje, poczyna funkcyonować, wyrzuca gilzy, zatrzymując się na śrubie (o), poruszającej się na sztyfcie. Dla zapobieżenia, by wypychacz nie naraz gilzy z obydwóch luf wyrzucił, jest nad nitem guzik (*d*); naciśnięty, działa on na sprężynę *F* i ubezwładnia ją. Wskutek tego sprężyna spiralna *S* powoli, nie nagle, wypycha gilzy, tak, że strzelec może wystrzeloną gilzę wyciągnąć, a nabitą pozostawić. System ten jest dość prosty i tam, podług cenników fabrykantów, kosztuje umieszczenie go w strzelbie tylko 30 marek, podczas gdy inne wypychacze są o wiele droższe, a przez to i strzelba oczywiście droższa. Z punktu widzenia myśliwskiego jednakże nie można tego mechanizmu pochwalić, bo, oprócz otwierania strzelby po strzale, naciskanie guzika i t. d. zawiele nieraz zajmuje czasu, a skoro się zapomni przycisnąć guzika, to i nabój niewystrzelony wypada, Bóg wie jak daleko, boć przecież nie zawsze robi się dublety.

O eżektorach, które bezpośrednio (*organisch*) są połączone z zamkami strzelby, posługując się ich sprężynami, pomówimy w rozdziale o broni bezkurkowej.

Kończąc ten temat, dodaję, że ani nie odradzam, ani nie doradzam myśliwemu użycia tych rozmaitych systemów eżektorów, bo zdarza się często, że gdy kamera zanieczyszczona rdzą lub prochem spalonym, gdy gilzy w kamerę trochę ciasno wchodzą, to te wszelkie mechanizmy zupełnie działać przestają. Niektórzy myśliwi lubią wprawdzie mieć zawsze na polowaniach najnowsze wynalazki w dziedzinie strzelby; jest to rzecz gustu, ale w takim razie radzę tym panom, by zawsze strzelbę w największej utrzymywali czystości.

Nie chcę też wyrazić się stanowczo o innej nowości, a mianowicie o automatycznym bezpieczniku (*Automatische Sicherung*). Polega on na tem, że kurki, stojące na drugim spuście, mają dawać gwarancyę, że broń nie puści. Nie zachwycam się tem wcale i radzę każdemu, kto wiele pirszuje w gęstych krzakach i zaroślach, gdzie nietrudno o zahaczenie się kurków o gałęzie, by kazał zrobić u swej strzelby zasuwki, t. zw. *Klappsicherungen*, choć i to nie jest potrzebne, bo myśliwy powinien sam być, że się tak wyrażę, „bezpiecznikiem" broni.

System bezpiecznika *Futz Behrens, Berlin* wskazuje fig. 33.

Unieruchomia on obydwa cyngle za pomocą zasuwki, wpuszczonej w szparę ścianek (*Abzugsblätter*)

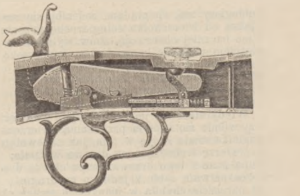


Fig. 33.

zamków, z zasuwką (*Schieber*) jest połączony za pomocą dźwigni (*Hebel*) guzik, umieszczony po nad ujęciem kolby, który przy zmierzeniu się strzelec bez wielkich zachodów naciska i zwalnia cyngle z zatrzasku.

(D. c. n.)

*) Lew raniony zwykle ryczy strasznie z bólu i wściekłości.

Szczepienie nosacizny psom.

Możemy podzielić się z naszymi czytelnikami bardzo radosną wiadomością: oto uczeni znaleźli nareszcie laseecznika nosacizny, a tem samem umożliwili szczepienie tej strasznej choroby, która zabiera około 50% naszych elewów.

Jeszcze dr. Jenner, nieśmiertelny odkrywca szczepienia ospy, utrzymywał, że zwykła krowianka zabezpiecza psy od strasznych skutków nosacizny, a przynajmniej osłabia znacznie jej przebieg. Doświadczenia jednak prowadzone przez licznych weterynarzy, do ostatnich czasów nie dały żadnych pewnych rezultatów, czego zresztą można się było spodziewać, gdyż baccilus ospy jest zupełnie różny od baccilusa nosacizny.

Powszechnem jest teraz mniemanie, że nosacizna przeniesioną została z Peru, najprzód do Francyi w 1740 r., potem do Niemiec w 1748 r; następnie ukazała się w Anglii, we Włoszech (1764), w Rosyi (1770). Szukano napróżno laseecznika tej choroby, aż dopiero w roku obecnym dr. Monckton Copeman, który od lat 10-u pracował w tym kierunku, przedstawił Królewskiemu Towarzystwu w Londynie rezultat swoich poszukiwań. Według niego, przyczyną choroby jest rozwijanie się cocobaccilusa w błonach śluzowych nosa i płuc; brak go we krwi, w wątrobie i w śledzionie. Baccilus ten, przeprowadzony przez właściwą kulturę, daje surowicę, której 2 centymetry sześcienne wystarczają dla psa ważącego 1500 gramów. Próby z surowicą Copemana są obecnie prowadzone w różnych laboratoryach Europy.

Bardziej jeszcze pozytywne rezultaty otrzymał dr. Physalix z Muzeum Paryskiego, który w d. 6 maja r. b. zakomunikował je na posiedzeniu Akademii Nauk. Bakteryolog ten znalazł w świnkach morskich baccilusa, który okazał się też bardzo zaraźliwym dla psów. Choroba, wywołana przez tego laseecznika, jakkolwiek bardzo zmienna w swych objawach, w głównych jednak zarysach przypomina psią nosaciznę. Napróżno jednak szukał dr. Physalix tego baccilusa w psach padłych na tę chorobę. Wówczas przypomniał sobie, że pan Lignieres znalazł w psach zdechłych na nosaciznę pewien gatunek laseecznika, którego charaktery fizyologiczne i biologiczne występowały dopiero wyraźnie po wielokrotnem przeprowadzeniu go przez organizm świnek morskich. Okazało się, że ów baccilus Lignieres'a jest identycznym z laseecznikiem świnek morskich. Dzięki bardzo skomplikowanym procesom udało się dr. Physalix'owi wydzielić tego laseecznika, a przeprowadziwszy go przez należytą kulturę, otrzymał surowicę, której 2 do 3 centym. sześć., zastrzykniętych szczeniakowi na udzie, wystarcza do zabezpieczenia psa od skutków choroby.

Doświadczenia swoje dr. Physalix prowadził na setkach psów z jaknajlepszym rezultatem. Możemy więc mieć nadzieję, że wkrótce elewom naszym będziemy szczepić nosaciznę, a tem samem zmniejszymy między niemi tak wysoki procent śmiertelności.

J. S.

Nieco o psim organiźmie i zmysłach.

(Dalszy ciąg).

Pożywienie psa w stanie dzikim musiało być przeważnie mięsne. Mówimy — przeważnie, ponieważ organizm jego wyłącznie jest usposobiony do przyjmowania pokarmów mięsnych, jakich w stanie swobody dostarczyć mu mogły padlina lub polowanie. Nie zawsze jednak w chwili dokuczliwego głodu znaleźć można padlinę lub polowanie odbyć z powodzeniem; nic więc dziwnego, że w żołądkach zwierząt mięsożernych napotyka się różne zioła, korzonki lub t. p. materye roślinne, a pies dość żarłoczny i dość niewybredny, przyciśnięty głodem, łatwiej mógł nazwyczajać żołądek do rozmaitych pokarmów, które znów, gdy podzielił życie towarzyskie z wszystkożernym człowiekiem, stanowczo zapanowały w jego *menu* i wywarły potężny swój wpływ kulturny na jego naturę.

Człowiek, w miarę rozwijania się własnej jego inteligencyi, wziąwszy w opiekę psa i troskliwie zajmując się jego wychowaniem, zręcznie dopomógł przyrodzie w jej zamiłowaniu do rozmaitości i przyczynił się wybitnie do tych rozlicznych typowych odmian, jakie dziś widzimy i jakie wciąż w oczach naszych powstają.

Za przekształceniem ogólnem poszły także i skłonności gastronomiczne. Pies przyswoił sobie smak, do jakiego nigdy nie miał usposobienia, a ta zmiana nietylko wpłynęła na samą rasowość, ale ważną gra rolę w ustaleniu rasy. Hodowcy nie powinni spuszczać tego z oka. i pożywienie psów każdej rasy, regulując do pożytków, jakich się od nich domagamy, w stałe ująć prawidła. Nie jest to łatwem, a często wprost niewykonalnem; nie trudno bowiem hodować psy podług recepty, gdy się mówi o psiarniach zarodowych, gdzie pewne siły składają się na przeprowadzenie całego porządku jak należy. Inaczej wszakże przedstawia się sprawa pojedynczego psa, w pojedynczej usłudze myśliwego. Względy ekonomiczne i rozliczne warunki miejscowe zmuszają nieraz do pogwałcenia wyrozumowanych zasad, na czem nieraz może dużo tracić sama czystość rasy.

Pomijając pieski salonowe, przepadające za łakotkami i słodyczami, do których od setek pokoleń nawykły, przeczo niekoniecznie grzeszą zbytkiem zdrowia, oraz podwórzowe kundle, dzielące nieraz strawę z inwentarzem nierogatym, baczną uwagę powinniśmy zwrócić na karmienie psów myśliwskich, które stosownie do specyalnych swoich zajęć i przeznaczeń, powinny otrzymywać mniej lub więcej odpowiednio intensywną strawę.

Gruntując się na powyższem, ponieważ pies przez obcowanie z człowiekiem, z mięsożernego stał się wszystkożernym, i w tych warunkach właśnie jest takim, jakim go dziś znamy, karmienie jego musimy opierać na racyonalnej podstawie i zastosować ją nietylko do ilości, lecz i jakości pokarmów. Postępując w ten sposób, wywieramy również swoisty wpływ na charakter mleka u suki szczennej, która po oszczenieniu mlekiem swojem usposabia żołądki swych dzieci do przyjmowania i asymilowania w przyszłości odpowiednich pokarmów.

Szczenię, natychmiast po urodzeniu, poszukując cycka, przyjmuje mleko przepełnione *siarą*, która posiadając własności czyszczące, wypróżnia wnętrzności szczeniaka z tak zwanej *smółki*, i przygatowuje narządy trawienia do wchłaniania później czystego i pożywnego mleka.

Wpływ mleka matki na rozwój zwierzęcia, w pierwszych jego miesiącach jest niezmiernie ważny, dla tego też matka musi być dostatecznie karmioną powiększoną dawką, z której część idzie na utrzymanie jej własnego organizmu, a część ma być przerobioną na mleko. Ponieważ mamy zamiar pisać o psich zmysłach, nawiasem powiemy tutej, że branie się szczeniaków do cycka jest dość znamienne i baczny obserwator łatwo dostrzeże różnice w sile i energii ślepych jeszcze szczeniaków, zapowiadających przyszły charakter osobnika. Nie zajmuje nas także kwestya ilości szczeniąt i ich wyboru, jest ona przedmiotem hodowli, o jakiej pomówimy później, zwrócimy tylko uwagę, że w epoce odłączania, czyli porzucania szczeniąt przez sukę, należy one przyzwyczajać do mleka prosto od krowy, lub też przegotowanego i ostudzonego, ale niezupełnie. Z chwilą pozostawienia szczeniąt, powinno się zacząć systematyczne karmienie psiaków, odpowiednio do ich przeznaczenia. Przejście jednak nie powinno być zbyt gwałtowne, lecz umiejętnie stosowane tak pod względem jakości, jak i ilości racyj, tem bardziej, że to już samodzielne odkarmianie się młodych nierównomiernie wpływa na rozwój ich organizmów, i gdy jedne rozwijają się dobrze, są żywe i tłuste, inne bywają jakby upośledzone i wygląd mają mizerny.

(D. c. n.).

Antoni Ignacy Tomaszewski.

Wyżły angielskie.

(Dalszy ciąg).

A) KRÓTKOWŁOSE (POINTERY).

Z powyżej przytoczonej, bardzo skróconej historyi wytworzenia rasy pointerów możnaby wnosić, że obecne krótkowłose wyżły angielskie są jakąś dziwną mieszaniną dawnych braków francuzkich i hiszpańskich perdiguerosów z fox-houndami, chartami i buldogami. W rzeczywistości jednak domieszka krwi tych ras postronnych jest w nich bardzo nieznaczna. Postaram się to objaśnić, o ile można treściwie.

Myśl dodania energii i lekkości dawnym ciężkim i lymfatycznym wyżłom nie mogła przyjść do głowy wszystkim hodowcom. Spróbował tego środka pułkownik Thornton i może jeszcze paru lub kilku innych, więcej przedsiębierczych właścicieli psiarni. A i ci nie wpuszczali fox-hounda jako reproduktora do całej psiarni, lecz próby robili ostrożnie, na boku, z małą ilością egzemplarzy. Z pierwszego produktu krzyżowania wybierano egzemplarze najbardziej odpowiednie i te łączono znowu z rasowemi wyżłami. To łączenie mieszańców z psami czystej rasy powtarzano dotąd, ciągle zmniejszając procent krwi fox-hound'ów, dopóki nie otrzymano psów pożądanego typu i zalet polowych. Przytem angielscy hodowcy nie kierowali się, przy wyborze szczeniąt do dalszej hodowli, maścią, jak to czynią Francuzi, lecz pozwalali psom wyrastać, psy już sformowane sortowali, a następnie wszystkie nieodpowiadające wymaganiom, bez litości niszczyli, pozostawiając tylko egzemplarze z odpowiednią budową i instynktami. Tym sposobem, po kilku pokoleniach, otrzymano psy o typie i przymiotach dość już ustalonych, i dopiero te wpuszczano do psiarni dla poprawienia reszty. Psy nowego typu okazały się o tyle lepszemi od dawnych, że sława ich szybko się rozeszła i inni hodowcy, którzy nie chcieli lub nie mogli robić prób na swoją rękę, zaopatrywali się w reproduktorów z owych przodujących psiarni, łącząc ich ze swemi, dawnego typu psami. Tym sposobem krew fox-hound'a rozrzedzała się coraz bardziej, lecz siła, wytrwałość i energia utrzymywały się w dalszych pokoleniach przez dobór. Widzimy więc, że owa nieznaczna domieszka krwi fox-hounda przyspieszyła tylko proces, głównym zaś czynnikiem poprawienia rasy był staranny i umiejętny wybór reproduktorów. Tak samo postępowano przy użyciu do krzyżowania chartów i buldogów. Choć więc każda z tych ras pozostawiła w pointerach pewne dodatnie ślady, krew dawnych wyżłów francuzkich i hiszpańskich ma w nich olbrzymią przewagę. Następne, choć bardzo ograniczone krzyżowanie z brakami, mogło tylko tę przewagę wzmocnić.

Pomimo jednak bezsprzecznego pochodzenia od hiszpańskich i francuzkich wyżłów, pointery o tyle różnią się od swych bezpośrednich przodków, że muszą być uważane za inną, angielskiego pochodzenia rasę.

Cechy typowe pointerów, przyjęte przez angielski klub pointerzystów, są następujące.

Głowa. Dostatecznie duża; szersza jak u setterów, lecz nie mięsista, około łuków nadbrwiowych lekko wypukła, tak, że przełom nosowy jest bardzo widoczny, prawie pionowy; guz z wierzchu czaszki widoczny, lecz nie tak wystający jak u blood-hound'ów; głowa wyraźnie oddziela się od szyi, lecz nie tak ostro jak u setterów.

Morda. Dość długa (nieco dłuższa od głowy); sucha, nie mięsista, z widocznemi żyłami; widziana z góry, nie szeroka, szczególniej między oczami; w profilu szeroka i tępa, z linią nosową prostą lub nieco zadartą.

Wargi. Dobrze rozwinięte, formy kwadratowej, cienkie, delikatne i lekko obwisłe.

Szczęki. Mocne i prawie równej długości; dolna w żadnym razie nie powinna być dłuższą.

Zęby. Mocne, równe i prawidłowo rozstawione (kły i siekacze górne nazewnątrz).

Oczy. Średniej wielkości, koloru ciemno-piwnego, o wyrazie żywym i inteligentnym. Oczy jasno-piwne lub żółte dopuszczają się, lecz nie są poszukiwane.

Nos. Szeroki, chłodny i wilgotny, nozdrza dobrze otwarte i ruchome; koloru odpowiedniego do maści od ciemno-cielistego do czarnego.

Uszy. Średniej długości, postawione wyżej jak u settera lecz nie za wysoko; przylegające dobrze do policzków; od dołu lekko zaostrzone; cienkie, delikatne i pokryte krótkim, jedwabistym włosem.

Szyja. Długa i nie gruba, lecz silna; w przecięciu okrągła; bez żadnych fałd i zwieszonego podgardla; za uszami lekko wygięta; dobrze oddzielająca się od głowy i łopatek.

Łopatki. Długie, postawione skośnie, silne i muskularne lecz nie mięsiste.

Pierś. Głęboka, lecz szeroka; z przodu nie wystająca, lecz raczej nieco wpadnięta; żebra opuszczone nizko, lecz niezbyt zaokrąglone; miejsce dla płuc powinno znajdować się w dostatecznie opuszczonej klatce piersiowej, a nie rozszerzonej beczkowato. Obwód klatki piersiowej powinien być większy od wysokości psa.

Grzbiet. Nie zakrótki, lecz silny; u psów za łopatkami nieco wklęsły, u suk--równy; krzyż szeroki i krótki, u psów nieco wypukły, bardzo muskularny.

Brzuch. Podciągnięty; odległość od tylnych żeber do bioder nieduża, u suk nieco większa.

Zad. Miednica bardzo szeroka; szynki długie, szerokie, i muskularne.

Nogi przednie. Silne, o dostatecznie grubej kości lecz nie masywne; w przecięciu noga nie okrągła lecz owalna, jakby nieco z boków spłaszczona; łokietki opuszczone nizko i postawione zupełnie prosto, t. j. nie wykręcone ani na wewnątrz, ani na zewnętrz. Cała noga od łokietków do łapy prosta i postawiona dobrze pod korpusem, t. j. nie powinna być zbytnio w tył cofnięta.

Nogi tylne. Silne i suche, z piętkami (uważanemi błędnie za kolanka) opuszczonemi nizko; kolanka swobodne, mogą być odrobinę wykręcone na zewnątrz. Nogi widziane z boku powinny być nie prosto postawione, lecz i nie zbyt wygięte; widziane z tyłu powinny być proste i prawie równoległe.

Łapy. Dawniej, u pointerów lekkiego typu, wymagano łap zajęczych (wydłużonych); obecnie ogólnie przyjęto, że łapa powinna być okrągła (kocia), z palcami wypukłemi i ściśniętemi (nie rozłażącemi się każdy oddzielnie). Pięty i podeszwy powinny być grube i twarde.

Ogon. O tyle powinien być krótki, ażeby spuszczony nie sięgał trochę do piętek; przy osadzie dość gruby, powinien zwężać się ku końcowi szydłowato; powinien być sprężysty, prosty lub bardzo lekko wygięty, noszony prawie horyzontalnie, szczególniej przy okładaniu i stójce; niektóre psy przy wystawianiu wyginają koniec ogona ku dołowi, co oznacza bardzo silny krzyż; ogon pokryty włosem krótkim i gładkim, tak, żeby na końcu nie było widocznego pendzelka, ani na dolnej stronie frendzli.

Szerść. Krótka, gładka, połyskująca lecz nie za miękka i jedwabista, oprócz głowy i uszu. U psów łaciastych zwykle na łatach bywa krótszą.

Maść. Jak już wspominałem, maść może być dowolna, stosownie do mody; w ostatnich jednak czasach za najpraktyczniejsze uznano maści żółto lub kasztanowato łaciaste i na wystawach prawie nie spotyka się psów innych kolorów. Przytem zwraca się uwagę na prawidłowe rozłożenie łat, szczególniej na głowie. Im symetryczniej odznaczoną jest głowa i uszy, tem lepiej. Białe łby i uszy nie są poszukiwane. Kolory łat powinny być mocne i żywe, a nie blade lub martwe. Nosy u psów żółto-łaciastych powinny być ciemno-cieliste, a u psów kasztanowato-łaciastych — ciemne lub jeszcze lepiej czarne.

Wygląd ogólny. Pointer powinien robić wrażenie psa lekkiego, a zarazem silnego i zdradzać temperament żywy i energiczny.

Tablica stopni wzajemnego stosunku części składowych ciała pointera jest następująca:

Wygląd ogólny	15
Łeb	10
Morda	10
Oczy i uszy	10
Szyja	5
Łopatki i piersi	10
Grzbiet i zad	10
Nogi	10
Łapy	10
Ogon	5
Szerść i maść	5
Razem	100

(D. c. n.).

August Sztolcman.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, 3 czerwca. Ponieważ puhacz, przy którym strzelcy w Osiecku bili ptaki drapieżne, zachorował i zdechł, postanowiono przeto kupić dwa puhacze, bowiem jeden, z powodu znacznych obszarów dzierżaw osieckich, nie wystarcza potrzebie.

Postanowiono w r. b., za przykładem lat dawnych, urządzić próby polowe wyżłów (*field trial*) w d. 31 sierpnia. Program konkursu w całości podajemy na innem miejscu. Urządzeniem konkursu zajmie się delegowany z Wydziału Łowczy, p. Grzesiewicz. Ponieważ w r. b. wychodzi z kadencyi dwóch członków Wydziału, a dwóch nie urząduje z powodu zrzeczenia się mandatów, przeto dla uzupełnienia kompletu Wydziału należy w r. b. wybrać czterech członków. Jako wychodzący z kadencyi wylosowali się pp. Jan Sztolcman i Józef Zarembski.

Postanowiono urządzić miejsca ochronne: u p. Arkuszewskiego w Chościechowie i Rykach, w pow. radomskim na 10 włókach z 2 stróżami i u hr. Wł. Zamoyskiego w Pilczycy, w pow. końskim na 31 włókach z 3 stróżami.

Posiedzenie Rady, 5 czerwca. Rada przyjęła projekt Wydziału o urządzeniu próby polowej wyżłów w d. 31 sierpnia i postanowiła zaprosić na sędziów pp. St. Lilpopa, Jana Sztolcmana, Józefa Zarembskiego, Stanisława Dziechcińskiego, i Aleksandra Patzera, oraz na zastępców pp. Romualda Więckowskiego, Wacława Paszkowskiego i Ignacego Lipowskiego.

Ponieważ z d. 1 kwietnia b. r. upłynął termin nadsyłania prac na konkurs, na monografię zająca, a we właściwym terminie nadesłane zostały trzy prace, przeto Rada postanowiła zaprosić *jury* do osądzenia prac konkursowych. Do składu sądu konkursowego zaproszono: pp. hr. Augusta Zamoyskiego, ks. Stefana Lubomirskiego, Jana Sztolcmana, Aleksandra Rembowskiego i Konrada Machczyńskiego.

Posiedzenie Rady, 12 czerwca. P. gubernator kielecki nadesłał wykaz broni, odebranej kłusownikom przez straż ziemską gub. kieleckiej w 1900 r. Wykaz ten obejmuje 136 sztuk broni palnej myśliwskiej. Postanowiono przesłać na nagrody dla straży na ręce p. gubernatora 75 rub.

Członek Rady p. Łaszcz zawiadomia Radę, że strażnik Żawryt z Góry Kalwaryi odznacza się gorliwością w tępieniu kłusownictwa i zasługuje z tego powodu na zachętę. Rada postanowiła dać mu nagrodę w sumie 15 rub. za pośrednictwem właściwego naczelnika powiatu.

W ogródku przy lokalu Oddziału otwartą została dla Członków Oddziału strzelnica letnia. Członkowie mogą strzelać codziennie od godz. 4 do 7 pp. z małokalibrowych sztucerków małemi nabojami i z pistoletów floberowych. Dla zachęty do ćwiczenia się w strzelaniu Komisya, wyznaczona do opiekowania się strzelnicą, utworzyła stały konkurs. Każdy ze strzelających, za 5 centrów (7-ek) otrzymuje złoty żetonik, a za 4 centra i jedną 6-ę srebrny żetonik. Niebawem też mają być ogłoszone konkursy strzeleckie z poważniejszemi nagrodami.

PRAWIDŁA

konkursowej próby wyżłów (field-trial), urządzonej przez Warszawski Oddział CESARSKIEGO Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa w 1901 r.

1. Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa urządza w bieżącym, 1901 r., tytułem próby i dla zachęty posiadaczy wyżłów, próby polowe (field-trial's) z nagrodami dla najlepiej ułożonych wyżłów wszelkich ras i pochodzenia. Oddział odstępuje w tym roku, jak i w poprzednim, od przyjętej powszechnie zasady próbowania tylko psów czystej krwi, a to ze względu na bardzo nieznaczną ilość psów takich u nas.

2. Do konkursu stanąć może każdy i zapisać wyżła wszelkiej rasy, podając jednak możliwie dokładnie jego wiek i pochodzenie.

3. Zapisy przyjmowane będą w Kancelaryi Towarzystwa, od daty ogłoszenia konkursu, do dnia 17 (30) sierpnia włącznie. Konkurs odbędzie się w d. 18 (31) sierpnia 1901 r. Zapisujący wnoszą tytułem wpisowego po rs. 3 od wyżła.

4. Psy chore i suki grzejące się do konkursu dopuszczone nie będą. Na punkcie zbornym, w dniu konkursu i o godzinie wskazanej przez Kancelaryę, psy winny się znajdować w obrożach i na łańcuszkach. Sędziowie będą kwalifikować psy na miejscu, losując porządek, podług jakiego będą próbowane. Spóźniający się pies będzie próbowany na końcu.

5. Psy próbowane będą na kuropatwach i o ile możności na zającach. Próby odbywać się będą w okolicach Warszawy.

Prawa i obowiązki sędziów.

6. Konkurs roztrzygają sędziowie w liczbie pięciu, którzy pomiędzy sobą wybierają prezydującego. Sędziowie wydają decyzyę, stawiając stopnie podług zatwierdzonego 100 stopniowego systemu (wiatr 25, szukanie 20, stójka 20, prowadzenie 10, ułożenie (apel) 20, podawanie 5) i naznaczają nagrody według swego uznania. Dla otrzymania I-ej nagrody wymagane jest minimum 75 stopni, dla II-ej 65, dla III-ej 60 stopni. Wyrok sędziów nie podlega apelacyi.

7. Każdy pies próbowany będzie oddzielnie, z wyjątkiem tych, o których mowa w § 9. Czas trwania próby zależy od sędziów.

8. Zwracając uwagę głównie na tresurę psa, sędziowie oceniają go podług następujących wymagań:

a) pierwszeństwo oddają psu z górnym wiatrem,

b) wymagać będą pracowitego szukania, przy szybkiem okładaniu,

c) twardej stójki i nieruszenia się z miejsca, choćby ptak strzelony upadł.

d) wymagać będą dobrego apelu, t. j. bezwzględnego wypełnienia rozkazów pana, odchodzenia na świstek od stójki i od prowadzenia i t. p.

Uwaga. Podawanie jest pożądane, lecz nie obowiązujące.

9. W razie jednakowych kwalifikacyj dwóch lub więcej psów, sędziowie próbują psy po dwa równocześnie; gdy zaś i to nie da rezultatu, oddają pierwszeństwo psu bardziej rasowemu.

10. Sędziowie w czasie próby prowadzą swoje notatki, po ukończeniu zaś onej odbywają naradę, podpisują protokół i przyznają nagrody na następujących zasadach: każdy z sędziów kwalifikuje psa podług wystawianych przez siebie stopni do odpowiedniej nagrody, a większość głosów decyduje o stopniu nagrody. Rezultat ogłoszony będzie na drugi dzień w pismach.

11. Właściciel sam (lub za pośrednictwem strzelca) psa prowadzi, nie inaczej jednak, jak pod kierunkiem sędziów, ściśle stosując się do ich wymagań.

NAGRODY.

12. Nagrody są następujące:

I-a rs. 100 i złoty żeton,
II-a „ 75
III-a „ 50

Oprócz tego układający psy nagrodzone (strzelcy) otrzymają przy odpowiednim dyplomie:

za 1-go psa — rs. 20,
„ 2-go „ — „ 15.

13. Nagrody doręczone będą właścicielom psów przy odpowiednich odezwach Towarzystwa.

Drobiazgi Myśliwskie.

Zjazd członków Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego odbędzie się w d. 30 czerwca i 1 lipca b. r. Na zebraniu uczestników Zjazdu będą odczytane referaty w sprawach łowieckich, poczem nastąpi strzelanie konkursowe do tarczy, celu ruchomego i do kul szklannych oraz strzelanie z pistoletów.

Będzie też rozstrzygnięty konkurs imienia hr. Józefa Potockiego na nagrody dla straży łowieckiej, odznaczającej się gorliwością w ochronie zwierzyny i tępieniu kłusownictwa. Nagród wyznaczono siedem: jedna 40 koron, dwie po 30 koron, dwie po 20 koron i dwie po 10 koron. Do konkursu stawać mogą tylko leśnicy, będący członkami Towarzystwa lub też pozostający w służbie u członków Towarzystwa. Przy przyznawaniu nagród będzie braną w rachubę długoletnia, nienaganna służba łowiecka, pierwszeństwo zaś w otrzymaniu nagrody będą mieli ci ze służby łowieckiej, którzy udowodnią jakąś wybitną czynność w kierunku ochrony zwierzyny lub tępienia kłusownictwa w ostatnich pięciu latach.

Menelik Abisyński prosił rząd włoski o zakupienie mu na wystawie psów w Medyolanie z każdej rasy po parze. Oczywiście, życzenie to będzie chętnie spełnione.

Sarnę z pięcioma nogami zabito w rewirach hrabiego Waldstein. Piąta noga wyrosła z tyłu po nad kolanem. Nie przeszkadzało to wcale sarnie biedz, jakby miała tylko cztery nogi. Wypchano tę sarnę i umieszczono jako osobliwość w muzeum w Pradze.

Młode kaczęta wylęgły się w okolicach Elbląga, jak donosi „Wild u. Hund" już 16-go maja.

Kolej i zwierzyna. W dobrach hrabiego Henckel v. Donersmark, według „Dt. J. Ztg." przejechał pociąg w nocy kilka sztuk jeleni. Hrabia wytoczył skargę zarządowi kolei o odszkodowanie. W pierwszej instancyi odrzucono skargę, natomiast w drugiej skazano zarząd kolejowy na odszkodowanie, wychodząc z tej zasady, że tylko nieuwaga oficyalistów kolejowych powoduje takie wypadki.

Olejek laurowy jest dobrym środkiem, zabezpieczającym od kąsania przez komary. Przed udaniem się na polowanie należy natrzeć sobie tym olejkiem twarz, kark, ręce, a na kilka godzin myśliwy zabezpieczy się w ten sposób od plagi, jaką stanowią komary, gdy polujemy na kaczki, rogacze i t. p.

Strzelanie do gołębi.

W Vichy (Francya) pomiędzy 23 czerwca i 25 sierpnia rozegrany zostanie szereg konkursów z nagrodami po 200, 250, 300, 500, 1,000 i 5,000 franków. Wielka nagroda Vichy rozegraną będzie w dniach 18 i 19 sierpnia (12 gołębi).

Strzelanie do gołębi w Spa odbywać się będzie od 24-go czerwca do 31-go lipca codziennie.

Zapytania i Odpowiedzi.

Zapytanie № 9. Udaję się do Szanownej Redakcyi z prośbą, o łaskawe udzielenie mi rady co do następujących dwóch kwestyj.

1) Przepisy myśliwskie § 33 mówią, że psy zwyczajne bez sznurka i kloca wolno strzelać bezkarnie.

U mnie na polu od kilku dni pojawiły się dwa psy, z klocami, o ile na oko sądzić można, nawet większemi, jak przepisane w § 32, zatem strzelać ich nie mogę; złapać także ich nie mogę, gdyż podejść się nie dają, pomimo, że nagonki na nie urządzałem. Właściciela ich do odpowiedzialności sądowej pociągnąć nie mogę, gdyż nie wiem, kto on jest, a tymczasem psy pomimo kloców, po kilka młodych zajączków dziennie mi zjadają i zniszczyły już kilka gniazd kuropatw.

2) Drugi wypadek w tym czasie miałem następujący. Strzelec mój spostrzegł psa bez kloca, błagającego po polach i także niszczącego młode zajączki. Przez kilka dni psa tego na strzał podejść nie mógł. Pies należał do chłopa, sąsiadującego ze mną i choć granicę przechodził, trzymał się zawsze w pobliżu swego pana. Pewnego dnia jednak strzelec mój, widząc, że pies goni zająca, zaczaił się nad drogą pod drzewem, żeby pies go nie spostrzegł i z chwilą kiedy pies wyskoczył na drogę, zabił go. Chłop zaskarżył strzelca mego do sądu i pomimo świadków z mej strony, strzelec mój musiał zapłacić wartość psa, gdyż, o ile mogłem doczytać się w motywach wyroku, § 33 mówi, że wolno strzelać psy włóczące się po polach; pies ten zaś był zabity na drodze.

Jak słyszę Tow. Praw. Myśl. opracowuje nową ustawę. Czyby zatem nie dało się zmienić w jakiś inny sposób tych paragrafów.

Prenumerator

Odpowiedź № 9. 1) W pierwszym wypadku, o ile psy miały klocki, prawem przepisane, znajdują się one pod opieką tegoż prawa, zatem strzelać ich nie wolno i my na to Szanownemu Panu nic poradzić nie możemy. Na szczęście psy takie stanowią wyjątek, gdyż pomiary klocków są dostatecznie wielkie, aby wszelkim Kruczkom i Bakietom odjąć ochotę od biegania po polu.

2) W drugim wypadku strzelec Pański był winien, gdyż mógł psa wypuścić poza drogę i wtedy go zastrzelić. Gdyby prawo, pozwalało strzelać psy na drogach publicznych, wówczas bylibyśmy świadkami ciągłych nadużyć ze strony strzelców, łakomych na strzałowe. Każde prawo powinno, o ile możności, godzić interesy wszystkich; a trudno jest chyba zabraniać prowadzenia psów po drogach publicznych.

Red.

Zapytanie № 10. Czem zapobiedz strasznemu obgryzaniu czubków sadzonek sosnowych w zagajeniach 2-4 letnich przez sarny?

Ziemia pod całym lasem i zagajeniami jest bardzo dobra z nadzwyczaj bujną wegetacyą roślin, zwłaszcza motylkowych, co powoduje, że po po ęble obsiewam przestrzeń żytem i w to żyto sadzę zagajenie po roku) tak, że zwierzyna bardzo dobrą ma paszę, czem się też i to tłómaczy, że zimą (prawda, że ostatnich lat prawie wcale śniegu nie mieliśmy) pomimo zakładania paszy (koniczyny suchej, kartofli etc.) i lizawek, sarny bardzo mało z paśników korzystają, a wiecznie tylko w młodych zagajeniach przesiadują i wielkie szkody w sadzonkach czynią. Na przestrzeni 50 włók lasu w jednym kawałku mam mniej więcej 150 i więcej stałych sarn i w tej to części największe szkody mi robią. Od kilku lat na tej przestrzeni obsiewam ogółem 15 mórg rzepakiem, lecz pomimo ogrodzenia z tyczek, sarny już w jesieni mi go wyjedzą doszczętnie. Może Szanowna Redakcya zechce mi coś poradzić przeciwko tym ładnym i miłym szkodnikom? Wiem, że za granicą smarują czubki sadzonek jakimś płynem, lecz nie wiem, jak się takowy nazywa i gdzie by go dostać można?

Józef hr. Żółtowski.

Odpowiedź № 10. Od czasu, kiedy w kraju naszym oddano się z większem zajęciem hodowli i ochronie zwierzyny łownej, słyszeć się dają coraz częściej narzekania na szkody w kulturach, wyrządzane przez zwierzynę. Szkody te widoczne są przedewszystkiem tam, gdzie już od dłuższego czasu prowadzone jest intensywne gospodarstwo lasowe, zaczem idzie także modne odnowienie lasu — sadzenie. W młodnikach, powstałych z sadzenia, nie ma zwykle żadnego podrostu, tego naturalnego źródła pożywienia — zwierzyna zatem przenosi się do kultur, w których również nie znajduje ani miękich drzew liściastych, ani krzewów, więc z konieczności rzuca się na pędy sosnowe lub świerkowe.

Jeżeli przy zakładaniu drzewostanów będziemy przygotowani na to, że pewna część sadzonek musi paść ofiarą zwierzyny, a oprócz tego na danej przestrzeni użyczymy miejsca także miękim drzewom liściastym i krzewom, to wówczas możemy mieć uzasadnioną nadzieję, że nasze kultury oprą się wszelkiej inwazyi zwierzyny. Mając jednak kultury powstałe z sadzenia, w takim razie istotnie nie mamy innego punktu wyjścia, jak stosować przeciw ogryzaniu znane środki zaradcze.

Zwierzyna ogryza pędy młodych drzew szpilkowych najwięcej w zimie i wcześnie na wiosnę, zależnie zatem od rozmiaru kultur należy smarowanie stosownie wcześnie rozpocząć np. w październiku), biorąc pod uwagę, że jeden robotnik przy dostatecznej wprawie może posmarować około 4000 sztuk sadzonek dziennie, czyli około [illegible] morgi i spotrzebuje do tego mniej więcej 3 funty smarowidła. Smarowidło, o którem mowa, jest zwyczajne jakie się używa do wozów, są jednak także specyalne preparata, wyrabiane np. w Pradze Czeskiej pod nazwą „Schutzmittel gegen Wildverbiss" J. Hitz, Tüchmachergasse 9, skąd prospekty i cenniki oraz próbki otrzymać można bez kosztów.

Doświadczenie uczy, że smarowanie sadzonek rozczynem wapna z domieszką gliny — chroni również flance od przygryzania. Tak jeden jak i drugi środek należy stosować umiejętnie, gdyż obydwa sposoby, źle wykonane, mogą tylko zaszkodzić samej kulturze, są bowiem gryzące i szkodliwe dla roślin.

Umiejętność smarowania polega na wprawie, aby smarując powlekać rozczynem tylko same szpilki a pączek szczytowy ma zostać nie posmarowany.

W celu łatwiejszego wykonania, używa się do tej czynności dwóch szczotek, osadzonych na spiralnej sprężynie działającej podobnie jak u sekatora. Za jednem zamaczaniem szczotek można posmarować około 200 sztuk flancy. Szczotki te nabyć można u Büttnera w Langd, Kreis Giessen, Deutschland — za cenę 2.20 marek.

W. Stephan.

Zapytanie № 11. Pozwalam sobie najuprzejmniej prosić, Szanowną Redakcyę, by zechciała łaskawie udzielić mi bliższych objaśnień, tyczących rośliny zwanej, jeżeli się nie mylę „soja," którą także uprawiają w dobrach Wilanowskich na karmę dla zwierzyny, mianowicie: co do uprawy ziemi pod takową i nazwy botanicznej tejże.

E. Ekowski.

Odpowiedź № 11. Soja „Soja hispida," „Die Soja-Bohne." „Rauhhaarige Soja," albo też „Haberlandt's-Bohne" należy do rzędu roślin motylkowych, jednorocznych, liścienie (kotyledony) wynosi jako taka nad powierzchnię ziemi, ulistwienie ma uwłośnione i rośnie podobnie jak fasola piechota. Gatunek najwcześniejszy tej fasoli zwany „Soja hispida praecox" ma ziarno koloru czarnego, podobne do ziarna wyki, a z kształtu i wielkości podobne jest do małej fasoli. Okres wegetacyjny trwa w naszym klimacie 120 do 130 dni. (Roślina ta pochodzi z Japonii lub Chin). Inne gatunki zwykle u nas niedojrzewają.

Na lekkich lecz urodzajnych gruntach udaje się bardzo dobrze, wymaga atoli starannej uprawy, a nawet pielenia i okopywania, wówczas jednak wyrasta krzaczkowato na łokieć i wyżej, i rodzi bardzo obficie. Soję sadzi się na grunie dobrze uprawionym w odstępach co 6 cali w kwadrat, lub w rowki podobnie jak końskі zęby.

Ponieważ w lasach Willanowskich (na liniach) dopiero po raz drugi uprawiono kilka morgów soi rodzajem próby, — więc co do użyteczności tej rośliny dla zwierzyny nie możemy dać jeszcze żadnych bliższych objaśnień.

Wiktor Stephan.

Sprostowanie. W N. 11. w artykule „Strzelba myśliwska" na stronie 6, w drugiej szpalcie należy usunąć ostatni wiersz, który brzmi tak: „przykrywka jest przymocowana czterema śrubkami;" wymieniony wiersz należy uważać jako pierwszy w tejże szpalcie.

Treść Nr 12 „ŁOWCA POLSKIEGO".

Prenumerata „ŁOWCA POLSKIEGO" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:

Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.